

Janusz Korczak



Dzieci
ulicy

Janusz Korczak

DZIECI ULICY

Wersja Demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2018

Janusz Korczak
„Dzieci ulicy”

Copyright © by Janusz Korczak, 1901
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2018

Zabrania się rozpowszechniania, kopiowania
lub edytowania tego dokumentu, pliku
lub jego części bez wyraźnej zgody wydawnictwa.

Tekst jest własnością publiczną (public domain)

ZACHOWANO PISOWNIĘ
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.

Skład: Adam Brychcy
Projekt okładki: Adam Brychcy
Druk: F. Kasprzykiewicz
Wydawnictwo: A. Pajewski
Warszawa, 1901

ISBN: 978-83-8119-348-1

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin

tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>

e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

I.

Nabywca dzieci.

W pogodny dzień jesienny Alejami Ujazdowskimi w Warszawie sunęły tłumy ludzi. Śpieszno było mieszkańcom miasta nacieszyć się ciepłem, słońcem i czystym powietrzem. Toż nieza długo trzeba się będzie ukryć w mieszkalnych klatkach, wśród murów, i czekać całe pół roku, nim z pod grubej warstwy brudnego śniegu ukażą się kamienie, a nędzne miejskie drzewka pierwsze puszczą pędy wiosenne.

Środkiem toczyły się karety, powozy i dorożki, jedne wolniej, drugie szybciej, mijając się, krzyżując. W powozach panie, postrojone w jedwabie i koronki, w kapeluszach, bogato przybranych kosztownymi piórami, panowie w modnych strojach z cieniutkimi laskami, zdobnemi w srebrne rączki. Tu przesunął się zgrabny wolant hrabiego Wikcia, tam ciężkie lando bankiera Totengelda, owdzie leciutki kabriolet znanej Ziuty, przyjaciółki hrabiego Żdzisia. W dorożkach dwukonnych siedzieli paniczykowie z nogami, bardzo wytwornie pokrytymi pledami, imitującymi tygrysie skóry. W jednokonkach, znów spokojne mieszczaństwo używało przejażdżki w towarzystwie żon i licznej czeready pociech. A trotuarami rozwijał się długim węzłem nieskończony, różnobarwy sznur pieszych.

Między bogatemi sukniemi pań, ciemnymi paltami panów, kręciło się wiele dzieci, zachęcając natarczywie do kupna wiązanek. Kwiaty tych bukietów były tak samo bezbarwne i smutne, jak blade twarze sprzedawców.

— Niech pan kupi kwiaty.

- Niech pan kupi bukiet dla tej pani.
- Niepotrzeba.
- Jaki niepotrzeba? Taka śliczna pani.
- Niepotrzeba, powtarzam wam raz jeszcze.
- Proszę pana, dla narzeczonej o! widzi pan, narzeczona się uśmiecha.
- Kiedy to wcale nie narzeczona, to żona.
- Proszę pana, ja chcę zarobić na chleb. W domu matka, proszę pana, chora.

I do ręki dziecka pada miedziana moneta, a kwiatek wędruje do rąk towarzyszyki szczodrego młodziana.

- Ile dał?
- Dychę.
- Pi, to ci dopiero, no!
- Golec.
- A ino.
- O patrz, ten kupi. Proszę pana, niech pan kupi kwiatek dla tej ślicznej narzeczonej. Proszę pana, ojciec chory, spadł z drabiny.
- A czym jest ojciec?
- Mularzem, proszę pani. Matka w szpitalu. Chcę zarobić na kawałek chleba.

Wśród tłumu osób szedł człowiek, który bacznie okiem śledził działalność zebraczej gromady. Szedł sam jeden, w palcie z podniesionym kołnierzem, z cienką laską w ręce. Z po za binokli spoglądało na dzieci dwoje dziwnych oczu przenikliwych. Czasem tylko błysły tam jakieś złowrogie ogniki gniewu, czasem

błyskawica się na chwilę zapaliła płomieniem, i znów były to oczy tylko przenikliwe, badawcze i chłodne.

— Mańka, Mańka, chodź no tu!

Oczy przechodnia spoczęły na postaci Mańki i jej towarzyszu.

Dziewczynka mogła mieć lat dziesięć, choć drobna, chuda, na twarzy nosiła odcień powagi, cechującej wiek starszy. W wytartej sukni nieokreślonego koloru, podartej i poplamionej, w podartym czarnym fartuchu, w bucikach wykrzywionych, które z przodu widać było aż do wysokości podartej pończochy, z tyłu i z boków zasłonięte ogonem sukni do kostek. Na talerzyku leżały w wodzie wiązanki kwiatów. W jej wielkich czarnych biegających oczach widniała przedwcześnie rozwinięta powaga, jakaś ciekawość niezdrowa i gniew niemy.

— Czego chcesz, czego się drzesz?

— Ten pan jest!

— E, jest? Aaa! widzę, widzę.

Przybiegła do pana w żółtych bucikach i lśniącem cylindrze.

— Dzień dobry panu.

— A, już mnie znalazłaś. I czego chcesz?

— Pan kupi kwiatek dla tej pani.

— Kiedy nie mam pieniędzy.

— E, pan ma.

— A z kąd wiesz, że mam?

— Bo pan bogaty.

— A to co za znajomość? — zapytała oparta o jego ramię pani w wielkim kapeluszu z piórami.

— To moja nadworna kwiaciarka.

Pani uśmiechnęła się niedbale.

— Czy jesteś o nią zazdrosna? — spytał.

Pani obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem.

— Wiesz, też masz pomysły.

— No, Mańka, dasz mi kwiatek na kredyt?

— Dlaczego nie?

— Chcesz różę? — zapytał towarzyszki.

— Dziękuję — rzekła z niechęcią i podrażnieniem w głosie.

Pan dał Mańce srebrną monetę, wiązanki nie przyjął.

— Innym razem — rzekł z dygnitarskim ruchem ręki.

— Dziękuję panu.

— Ile ci dał, co?

— Dał czterdziestaka.

— Daj mi dychę.

— Ciekawam za co?

— Zawołałem cię.

— Jabym sama go zobaczyła.

— Nie dasz? No, zobaczysz, pożałujesz.

— Masz, masz, naźrej się.

— Tylko się nie rzucaj tak bardzo.

Wziął dziesiątkę, pochwycił niedopałek papierosa, którego rzucił jakiś przechodzień i zaciągnął się.

— Antek — zawołała nagle Mańka.

— Czego ci się chce?

— Patrz, tamten znów się tu kręci.

Antek rzucił papierosa, zmierzył groźnie przeciwnika.

— Poszedł won! Tu nasze miejsce.

— Kupiłeś?

— A kupiłem, tobie co do tego? Zmiataj, mówię ci, pókim dobry.

Chłopiec zmierzył Antka od stóp do głowy.

— A boję się ciebie, myślisz?

— A myślę.

I Antek zbliżał się powolnym krokiem do chłopca, zachodząc z boku.

— Pójdiesz?

— Nie pójdę!

Antek pchnął chłopca bokiem, wystawiwszy łokieć. Uderzenie było silne; chłopcu spadła z głowy czapka.

— Poczekaj, dam ja ci.

Ale Antek miał przewagę pierwszego udanego ruchu. Zręcznie podniósł czapkę z ziemi, nasunął mu ją aż na nos i rzekł, pchając go przed sobą.

— Ruszaj, zkądś przyszedł.

Walka była nierówna. Antek był silniejszy:

— Poczekaj, jak będę z Wickiem, to pomówimy dziś jeszcze.

— Oj! oj! boję się Wicka tyle, co ciebie.

— Zobaczymy.

— A no.

— Pies szczeka, wiatr wieje.

Antek przyskoczył do przeciwnika z zaciśniętymi pięściami.

— Słuchaj, powiedz no jeszcze co.

— A powiem.

Rozległ się odgłos uderzenia.

Do walczących zbliżyła się Mańka.

— Antoś, przestań już — prosiła.

— Wynoś się, o! — rzekł zirytowany Antek.

— Patrzcie, jak się o niego boi. Narzeczona! — szydził pokonany zapaśnik.

Antek puścił się za nim w pogoń, lecz chłopiec uciekł.

Środkiem Alej płynęły powozy, dorożki; trotuarami sunęły tłumy. Piękne stroje tworzyły barwny dywan, utkany z kosztownych tkanin.

— Proszę jaśnie pana, niech pan kupi bukiet. W domu matka chora, ojciec, sześcioro dzieci małych.

Pan w palcie z podniesionym kołnierzem, w ciemnych binoklach, usiadł na ławce, patrzył on na cały przebieg walki spokojnie i ciekawie.

Antoś zauważył go i zbliżył się z uśmiechem.

— Niech pan, proszę łaski pana, kupi bukiet.

— Ile kosztuje?

— Co łaska, proszę pana.

— A co ja będę robił z kwiatami?

— Podaruje pan ładnej panience. Niech pan kupi. Chcę zarobić na chleb i na lekarstwo dla ojca. Matka mnie wysłała.

— Ty prawdę mówisz, czy kłamiesz? — oczy nieznajomego głęboko zatopiły się w oczach Antka.

— Prawdę, proszę pana — odpowiedział, patrząc śmiało.

— Słuchaj, jeżeli powiesz mi prawdę całą, to ci dam rubla.

— Ja prawdę mówię, proszę pana.

Niebieskie oczy Antka ciekawie obejmowały postać nieznajomego. Przybrał pokorną postawę.

— Masz rodziców?

— Mam matkę chorą, proszę pana, ojciec umarł.

— Jak dawno?

— Przed miesiącem, proszę pana.

— Mówiłeś przed chwilą, że ojciec jest chory.

— To ojczym, proszę pana.

— Więc matka już zamaż wyszła?

— A cóż miała robić, proszę pana? zostało nas siedmioro, toby nie poradziła!

— Ojciec w szpitalu jest?

— Tak, proszę pana.

— Więc po co zebrzesz na lekarstwo? W szpitalu dają lekarstwa.

— Dla siostry, proszę pana.

— Mówiłeś, że dla ojca musisz kupić lekarstwo?

— Nie, proszę pana, dla siostry. Ojciec w szpitalu.

— W którym szpitalu?

— U Dzieciątka Jezus, proszę pana.

— Mańka jest twoją siostrą?

— Jaka Mańka?

— Ta, która sprzedaje tam kwiaty.

— Nie, to nie siostra.

— A co ona za jedna?

— Jej rodzice... Ona jest... My mieszkamy w jednym domu.

— A czym jest jej ojciec?

- Ona nie ma ojca.
 - A matkę ma?
 - Ma albo nie ma.
 - Co to znaczy?
 - E, pijaczka, po całych dniach niema jej w domu. I chora.
 - Prawdę mówisz?
 - A co miałbym kłamać?
 - A gdzie ty mieszkasz?
 - Na Szulcu.
 - Pod którym numerem?
 - Pod piętnastym.
 - Jutro będę u was.
 - Kiedy ja, proszę pana, mam kupić lekarstwo.
 - To chodź ze mną, zaprowadź mnie teraz.
 - E, teraz nie mogę.
 - Kłamałeś?
 - A no, kłamałem.
 - I nie powiesz mi prawdy?
 - A nie.
 - Dlaczego?
 - Bo nie.
- Antoś oddalił się rozgniewany.
- Coś z nim mówił? — pyta go Mańka.
 - E, trajlował tam.
 - A co mówił?
 - Pytał się o mnie i o ciebie.

— A co on chciał?

— Choroba go wie. Chodź ztąd, bo się jeszcze będzie czepiał.

Wieczór zapadał. Aleje powoli pustoszały. Rodziny z dziećmi powracały gromadnie do domu, powozy rozprysły się. Chłodny wieczór jesienny rozpędził ostatki spacerujących. Niebo się zachmurzyło, powiał wiatr silny. Liście z głuchym szelestem opadały z drzew na ziemię.

Mali roznosiciele kwiatów, drząc z chłodu, tem natarczywiej ofiarowywali swój towar.

Czasem policjant zamajaczył na tle wilgotnego wieczoru, a wtedy dzieci na dane hasło kryły się za drzewa, lub przebiegały przez środek ulicy.

Wreszcie ucichło zupełnie.

Antoś wracał z Mańką; zimno im było w mgle jesiennego wieczoru. Szczególniej chłopiec w swych dziurawych spodniach i jakiejś przezroczyściej bluzie, narzuconej na koszulę, czuł chłód dotkliwy.

— Poczekaj, kupię papierosów.

Antek wszedł do sklepiku, kupił kilka sztuk papierosów, dla Mańki serdelek i czekoladę w srebrnym papierze.

— Masz.

Zapalił papierosa.

— Ile tam masz? — zapytał Mańkę Antek.

— Brakuje mi ośmiu kopiejek.

— Masz, niech cię tam. Czort go wie, w jakim on dziś humorze.

— Dziękuję ci. A ty?

— O, ja swoje zawsze zarobię. Żeby nie ten stary grzyb,

tobym miał rubla dla siebie.

— Ty tak jakoś umiesz.

— Owa, wielka sztuka. Żebym to ja był dziewczyną, tobym jeszcze więcej zarobił!

— A jakże. Lepiej być chłopcem.

— Co ty tam wiesz... Dlaczego ty nigdy w rękę nie całujesz?

— Bo nie chcę i nie będę.

— Fi, takaś harda. W interesie tak nie można.

Biegli w stronę Wisły.

Gdyby się Antek albo Mańka byli obejrżeli, ujrzeliby idącego krok w krok za nimi w palcie z podniesionym kołnierzem i w binoklach ciemnych mężczyznę. Śledził on tę parę przez cały wieczór, szedł za nią, czekał, aż Antek wyjdzie ze sklepiku, a teraz zmierzał w stronę Wisły. Mocniej nasunął on kapelusz na czoło, czasem przystawał na chwilę, cofał się o kilka kroków i znów szedł za dziećmi, przyciskając w prawej ręce błyszczący przedmiot.

— Słuchaj, Antoś — zapytała nagle Mańka — czy ty się nie boisz Wicka?

— Co się mam bać?

— A jak on cię zbije; on silniejszy, a może i innych namówić.

— Już ja sobie poradzę. Nie takich rydzów widziałem.

Domy były coraz mniejsze; parkany oddzielały pojedyncze zabudowania, bruk stawał się coraz nierówniejszy, a latarnie coraz mniej rozpraszały ciemności.

Na zakręcie ulicy ukazało się dwóch chłopców.

— Antoś, patrz — zawołała z trwogą dziewczynka, chwytając Antka za rękę.

- Puść, głupia.
- Uciekajmy.
- Jaby m uciekł, ale ty?
- To weź moje pieniądze i leć.
- Głupia jesteś.

Ciemne sylwetki chłopców znaczyły się coraz wyraźniej.

— Dobry wieczór — zawołał ironicznie czternastoletni Wicek.
W ręce Antka błysnął jakiś przedmiot niewielki.

- Tylko się zbliżcie.
- Fi! fi! ja się twojego noża nie zląknę.
- Zobaczymy.
- Więc nożem mi grozisz?
- A nożem.
- E, rzucisz go zaraz.
- Antek! — zawołała Mańka.
- Nie rzucę. Cicho bądź.
- E, rzucisz.

Walek cisnął w przeciwnika kamień. Antek odskoczył w bok i w mgnieniu oka rzucił się i powalił chłopca na ziemię.

Drugi chłopiec nadbiegł z tyłu, ale Mańka pochwyciła go za ucho i ciągnęła z całych sił.

- Puść mnie.

Zdała dały się słyszeć czyjeś kroki.

— Ratunku — zawołał Walek, który aczkolwiek silniejszy, nie był tak zwinny, jak Antek.

Chłopiec zerwał się, cisnął nóż za parkan, a sam rzucił się do ucieczki.

W tej chwili ukazała się postać policjanta. W dwóch skokach dogonił Mańkę i pochwycił ją.

— Co ty tu robisz?

— Idę do domu.

— Do domu? A możebyś do cyrkułu ze mną poszła?

— Proszę pana, za co?

— A czego krzyczałaś?

— Bo chłopak chciał mi odebrać pieniądze. Jest tu za parkanem.

Za parkanem dały się słyszeć głośne kroki, jednocześnie rozległo się szczekanie psów i szamotanie się z nimi chłopca.

Policjant przesadził parkan. Mańka pędem puściła się przed siebie.

Ktoby widział, że z ukrycia, z wgłębienia między murem i parkanem, wyszedł człowiek i pobiegł za Mańką, tenby mógł sądzić nie bez powodu, że jest to winowajca istotny tej walki nocnej.

Mańka biegła szybko. Krople potu spływały jej z czoła. Strach przed tym cyrkułem, który znała ze słyszenia, był nad wyraz wielki. Ileż to razy już miała się tam dostać, ale wypłakała, wymodliła się, lub uciekła w drodze. A ten cyrkuł, jak widmo groźne, jak upiór straszny, ścigał ją w sennych marzeniach i na jawie.

Na rogu dwóch ulic, które się krzyżowały, stał domek drewniany, a w nim szynk z pozaklejanymi od ulicy szybami. Dalej ciągnął się już tylko szereg parkanów, w dali w ciemności majaczyła Wisła.

Do tego szynku wbiegła Mańka; przebiegła szybko pierwszą

i drugą izbę, otworzyła drzwi, które prowadziły na korytarz długi, na końcu którego znajdowały się schody.

— No, jesteś? — zapytał z góry Antoś.

W tej chwili drzwi się otworzyły, jasna smuga światła na chwilę rozproszyła ciemności.

— Kto to? — zapytała z niepokojem Mańka.

Nie było odpowiedzi.

— Czy to ty, Szmul?

Milczenie.

Mańka przebiegła schody, słysząc za sobą w ciemności czyjeś kroki niepewne.

— Kto to? — zapytała raz jeszcze, a nie otrzymawszy odpowiedzi, wbiegła na poddasze do pokoju razem z Antosiem i zamknęła drzwi na klucz.

— Czego hałasujecie tak? — ozwał się z wnętrza ostry głos mężczy. — Nie możecie wejść spokojnie.

— Bo... bo... tam ktoś jest.

— Jaki ktoś?

— Jest tam; nie wiem, słyszałam, widziałam jak wchodził.

— Nie łżyj tylko, rozumiesz?

— I ja widziałem — dodał Antek.

— Czy jeden?

— Zdaje się, że jeden.

Dało się słyszeć otwieranie i we drzwiach z lampą w ręce stanął mężczyzna.

— Kto to?

— Ja — rzekł nieznajomy w palcie z podniesionym

kołnierzem, w binoklach.

— Czego pan chce?

— Chcę wejść.

— Jakiem prawem?

— Mam do pana interes.

— Ja w nocy nie załatwiam interesów.

I mężczyzna z lampą w lewej ręce począł się powoli przysuwać do nieznanego. Nagle zatrzymał się, ujrawszy wymierzoną w siebie lufę rewolweru.

Stał chwilę, drżąc wobec niebezpieczeństwa i patrząc ze strachem w oczy, utkwione w niego, jak dwa ostrza, z po za binokli.

— Coś pan za jeden? — wybąkał — ja pana nie znam.

— I nie masz pan potrzeby mnie znać. Czy mogę wejść do pokoju?

— Proszę.

Cała ta scena trwała zaledwie chwilę. Nieznajomy pewnym krokiem wszedł do izby. Duży pokój z nierównym sufitem, z małym oknem. Żelazne łóżko stało przy drzwiach; w łóżku leżała jakaś dziewczyna z młodą, ale zniszczoną twarzą, pokrytą gęstą warstwą jakiejś taniej farby.

— Ach! — krzyknęła, okrywając się kołdrą.

— Milczeć! — rzekł groźnie gospodarz mieszkania.

Postawił lampę na stole sosnowym, założył ręce na piersiach i zapytał krótko:

— Więc?

— Czy to pana dzieci?

- Co to pana obchodzi?
- Chcę wiedzieć!
- W jakim celu?
- Chcę od pana te dzieci kupić.
- One nie są do sprzedania.
- Ile pan żądasz?
- Chce pan je kupić?
- Mów pan, ile pan chcesz rubli za Antka i Mańkę?

Antek i Mańka stali nieporuszenie.

- Ile chcę? Po co panu te dzieci?
- Potrzebne mi są.
- Na co?
- Rozmowa nasza trwa zbyt długo.

Na zwiędłej twarzy opiekuna dzieci widać było jakąś walkę. Był nietrzeźwy, i trudno mu było zebrać myśli.

- Ja mam z nich duży dochód — rzekł wymijająco.
- Więc policz pan więcej.
- Tysiąc rubli pan da?
- Za dwoje, czy za jedno?
- Za... no tak, za jedno; rozumie się, że za jedno.
- Więc dwa tysiące rubli?
- Hm, Mańka nie jest moją córką, ale...
- Ale?
- Ale ja mogę pomówić z jej matką. Może się zgodzi.
- Kiedy pan pomówi?
- Jutro.

- Ja chcę rzecz załatwić odrazu, teraz.
- Trzy tysiące pan da?
- Dam!
- Zaraz?
- W tej chwili. Pan ma papiery dzieci przy sobie?
- O, papiery w porządku.

Nieznajomy sięgnął do kieszeni.

- Panie, ja panu ufam.

W tej chwili przez drzwi wsunęła się ruda głowa żyda.

- Czy?..

- Precz, wynoś się... Antek, patrz, żeby nie podsłuchiwał.

Dało się słyszeć szamotanie za drzwiami, przytłumione wymysły; wreszcie wszystko ucichło; Antek wrócił.

— Ufam panu — ciągnął nieznajomy — że pan mnie śledzić nie będzie, gdy wyjdę, że dzieci te będzie pan uważał z chwilą otrzymania pieniędzy za moją własność.

— O, masz pan na to słowo honoru — rzekł z teatralnym gestem pijak.

— Sto, dwieście, trzysta, czterysta, pięćset — liczył przybyły, układając nowe sturublówki.

Pijak brał je między palce, patrzył pod światło.

- Czy pan jest właścicielem cyrku?

- Może.

- O, to pan dobry interes robi.

- Ja nigdy złych nie robię.

- Napije się pan ze mną?

- Dziękuję.

— Gardzi pan?

— Tu jest całe trzy tysiące. Proszę o papiery.

— Proszę bardzo: metryki, świadectwa pochodzenia, nic więcej nie potrzeba.

— Za godzinę wyjeżdżam zagranicę... Dzieci, idziemy.

— No, chłopcze, sprawuj się dobrze. Widzisz, ten pan bogaty, wyrób się, pamiętaj, a o ojcu nie zapominaj, jak ci będzie dobrze.

— Idziemy — powtórzył nieznajomy.

Antek i Mańka szli, jak uśpieni. Ojciec sprowadził ich na sam dół aż do ulicy.

— No, Szmul, dawaj spirytusu.

— Niech no mi pan Andrzej powie, co on chciał? po co on tych małych wziął?

— A no, kupił ich.

— Jakto kupił?..

— Kupił, zapłacił 3000 rubli gotiu. O, patrzaj, żydzie.

— Co, 3000? Czy on warjat?

Szmul wybiegł przed szynk, ale Andrzej pochwycił go za kołnierz i wciągnął napowrót do sklepu.

— Dałem mu słowo honoru, że go śledzić nie będę.

— No, to niech pan nie śledzi. Ja słowa honoru nie dawałem.

Szmul wyrwał się, wybiegł na ulicę. Było pusto. Biegł najbliższą drogą w stronę miasta, wołał, biegał. Nikogo nie było.

— Aj! aj! trzy tysiące. Dlaczego pan nie żądał sześć albo osiem?

— Wystarczy i trzy.

— A może to fałszywe?

— Kupisz je za połowę ceny?

— Dlaczego nie?

— No, to przynieś mi kolację na górę, tylko pamiętaj, dobra żeby była.

Andrzej wyszedł ze sklepu do siebie. Szmul zamknął szynk, zaniósł wódkę, kielbasę i jajecznicę na poddasze i wziął się do liczenia kasy:

— Oj! oj! dziecko sprzedał, dziecko sprzedał. Czy on jest człowiek?

Wszedł do alkowy, ucałował po kolei swoje śpiące w miękkich betach bachory i, rozbierając się, myślał dużo. A potem położył się i długo nie mógł zasnąć, bo nie wiedział, co to za pan, co to za pieniądze i co to za ojciec, który dzieci swoje sprzedaje.

A pan Andrzej, podnosząc w górę kieliszek i, uderzając nim o kieliszek ulicznej dziewczyny, wołał:

— Za zdrowie Antka!

A potem, spluwając, dodał:

— Psia krew! to ci dopiero jestem bogaty teraz!

II. Co to będzie?

Antek i Mańka szli spokojnie, trzymani mocną ręką mężczyzny.

Antek myślał z trudem.

Przed godziną chodził w Alejach i sprzedawał kwiaty, potem spotkał tego pana, ten pan tak dziwnie z nim mówił, potem

Antek odszedł sobie, znów sprzedawał kwiaty, potem kupił papierosy, bił się z Wickiem, uciekał, potem...

— Co teraz będzie z nami? — zadał sobie pytanie.

Może ojciec wzięł pieniądze i odbije go teraz? A może, nie czekając na pomoc niczyją, uciec samemu wyrwać się i uciec? A jeżeli ucieknie, co się stanie z Mańką?

Próbował wysunąć rękę. Niemożna. Ręka przewodnika trzyma go silnie.

Nie, uciekać nie warto. Trzeba zobaczyć jeszcze. Uciec ma czas. Mańki nie zostawi, Mańka — dziewczyna, głupia, sama sobie nie poradzi. A może mu lepiej tam będzie?

E, chyba lepiej to mu nie będzie. Wywiezie go nieznajomy z Warszawy, a w Warszawie jest dobrze, wesoło. Dawniej, to co innego. Nie umiał Antek „chodzić koło interesu”, wstydził się jakoś, mało zarabiał i brał od ojca „wnyki.” Ale teraz. Zawsze miał swojego rubla, papierosy, piwo stawiał kolegom, a Saska kępa, a cyrk...

A może ten pan jest właścicielem cyrku? Antek zna cyrk. Wielka sala. Tysiące ludzi. Światła się palą. Arena wysypana żółtym piaskiem. Muzyka gra. Lokaje stoją we frakach, w rękawiczkach, mają złote pasy przy kieszeniach. Tyle złota, tyle jasności, tak głośno. Biją wszyscy oklaski, a jeździec wyjeżdża na koniu w trykotach, z aksamitną przepaską, z różnego koloru blaszkami. Jeździec kłania się, a wszyscy klaszczą. Muzyka zaczyna znów grać. Błazen coś mówi, przewraca się, kręci, woła lokajów, bije ich po twarzy, ale tylko tak, naumyślnie. Taki śmieszny. Wszyscy się śmieją. Jeździec zacina konia. Koń śliczny, tłusty, ma cienką szyję i tak stawia nogi jakoś dziwnie, ale ślicznie. Zaczyna się przedstawienie.

Siodło na koniu płaskie. Skoczek staje na koniu. Rzuca piłki i chwyta je w powietrzu. Przeskakuje przez koła z bibułą, przez szerokie szarfy. Orkiestra wygrywa coraz głośniej. Koń pędzi prędko, przechyla się do środka areny. A ten nie spada.

Ach, jak to pięknie.

Albo ci na trapezach. Ten pan pewnie dlatego właśnie kupił go z Mańką, żeby nauczyć ich na trapezach robić sztuki. Widział jeszcze mniejsze dzieci. Ach, jak to ślicznie.

Antek przyśpiesza kroku. Już kończy się Powiśle. Za chwilę wejdą na ulicę śródmieścia.

Dokąd on ich prowadzi?

Nieznajomy idzie miarowym krokiem, nie patrząc na swoich więźniów.

Antek myśli dalej.

Czy on też prędko nauczy się tak przeskakiwać z trapezu na trapez? W cyrku biją. A ten go przecież kupił. Dlaczego ojciec go sprzedał? Ba, trzy tysiące rubli. Teraz ojciec jest bogaty. Może kupi sobie powóz i karetę.

Antek zrobił rozpaczliwy ruch. Dziecko Powiśla lękało się śródmieścia o tej porze. Ale dłoń nieznajomego ścisnęła jak żelazna obręcz jego drobną rękę. Tylko kości trzeszczały w stawach.

Ulica zalana potokami światła. Pieszycy niema, ale powozy wśród głośnych okrzyków i śmiechów pędzą środkiem „po kawalersku”.

— Ja nie chcę iść — mówi Antek.

— Boisz się? — pyta nieznajomy.

— Nie.

— A dlaczego nie chcesz iść?

— Bo nie chcę.

— Będziesz mógł wrócić do ojca, jak nie zechcesz zostać u mnie.

— Prawda była.

— Nie wierzysz mi?

— A tak. Jak nas pan wywiezie, to nas już sam djabeł nie znajdzie.

— Mówię ci, że będziesz mógł wrócić.

— Pan myśli, że „fater” panu odda pieniądze?

— Chodź, w hotelu pomówimy jeszcze.

— No, dobrze — zgodził się chłopiec.

Na rogu ulicy wznosił się hotel.

— A daleko to? — zapytał jeszcze Antek.

— O, tu naprzeciwno.

Przeszli środkiem ulicy. Weszli do wielkiej bramy; na lewo prowadziły schody. Schody były wysłane dywanami. Na półpiętrze lśniło wielkie lustro. Jasno, jak w cyrku. Antek rozgląda się swobodnie, Mańka lękliwie stąpa w swych zabłoconych bucikach po miękkim dywanie.

Portjer tak groźnie spojrzał na dzieci, gdy wchodziły.

Już są w numerze.

Na progu wita ich stary lokaj zapewne, bo zdejmuje przybyłemu palto. Obecność dzieci nie zadziwia go. Starzec jest wzrostu wysokiego, ma siwe przygasłe oczy, wielkie białe brwi i wąsy, a włosy mu błyszczą, jak srebrne. Nie mówi nic.

— Idź, Macieju, zapłać rachunek i zamów karete.

— Słucham jaśnie pana.

Zrobił zwrot wojskowy i wyszedł.

— Idźcie do pokoju.

Antek wchodzi do sąsiedniego pokoju, za nim Mańka. Antek rozumie, że dziewczyna widzi w nim opiekuna, i to go napełnia dumą.

— Niech pan powie, co pan chce z nami zrobić?

— Dowiesz się nieza długo, teraz nic wam nie powiem.

— To my nie pojedziemy.

— To ja każę aresztować was. Widziałem waszą walkę na noże.

— Nieprawda, ja nie miałem noża — zaprzeczył żywo Antek.

— Widziałem. A teraz idźcie się naradzić. Ze mną albo do więzienia.

Wśród towarzyszy Antka niejedni już „doł kożę;” dumni byli z tego chłopcy, opowiadali o tem. Była to arystokracja wśród chłopców. Ale Antek... jeszcze bał się murów więziennych i krat żelaznych.

Nieznajomy zamknął drzwi za dziećmi.

— Wiesz Mańka, jeść mi się chce — zaczął Antek, nadrabiając miną.

— I mnie też — rzekła Mańka.

— Niech nam da coś jeść.

— Przecież mu nie powiesz?

— Dlaczego nie? A co mi zrobi? Jak miał pieniądze na kupienie nas, to niech teraz żreć daje.

— Antoś, nie rób tego.

— A właśnie, że zrobię.

I Antek, nie bardzo wiedząc, co robi, otworzył drzwi i rzekł:

— Proszę pana, nam się chce jeść.

— W mojej torbie podróżnej jest jedzenie, leży na kanapie — odpowiedział spokojnie gospodarz.

— No, Mańka, wsuwajmy. Patrz, Mańka, „fajne” jedzenie. O, kiełbasa, o, chleb. Na, wcinaj.

Zaczęli jeść, Antek pierwszy napakował sobie pełne usta.

— Więc, widzisz, ja sobie myślę tak: bogaty to on jest. Grosze ma. Krzywdy sobie zrobić nie damy. Co szkodzi spróbować. Może się uda. Albo drapniemy do domu, albo gdzieindziej. Wszędzie sobie zarobimy przecież. Co? Jeszcze lepiej będzie; co zarobimy, to będzie dla nas. A tu musimy starym oddać. Co?

— Ja nie wiem — odparła Mańka.

— Ty nic nie wiesz — zachnął się niecierpliwie Antek. — Widzisz, ci bogaci to mają, mówię ci, złote życie. Patrz, jakie łóżko, co? Pewnie i my będziemy mieli takie łóżka. Jabym tam ciągle tylko leżał sobie i leżał... Bo ci bogaci to wstają, mówię ci, dopiero po obiedzie, albo jak. Co to szkodzi? Ale po co on fatrowi płacił, kiedy mógł sobie nazbierać tych bachorów nad Wisłą zadarmo, co?

— Nie wiem.

— Głupia jesteś. Więc ja jadę. A ty?

— Ja także.

— Poczekaj, nie leć tylko. Czy ty umiesz włązić na dach, albo na drzewo, albo przez okno wyskoczyć? Ja co innego.

W oczach Mańki zabłyśły jakieś ponure światełka.

— Ja nie chcę wracać do domu — rzekła z mocą.

— Bo co?

— Bo nie chcę.

— A źle ci było?

— Źle.

— A czego ci brakowało?

Mańka nie odpowiadała.

— A jak ci będzie jeszcze gorzej?

— To się powieszę.

— A jakże.

— A Staśka się wieszała przecież.

— Staśka co innego. I odcięli ją przecież.

Wszedł lokaj z siwymi wąsami, zebrał rzeczy, powkładał do walizki, nie mówiąc ani słowa. Zebrał resztki jedzenia, włożył do torby podróźnej.

— Jedziemy — rzekł nieznajomy.

Wziął dzieci za ręce. Zeszli po tych samych schodach, po których weszli. Znów to samo lustro, chodniki, płomienie gazowe, znów lokaj z groźnym spojrzeniem.

W bramie czeka kareta.

Wsiedli. Zatrzaśnięto drzwiczki. Antek za żadne skarby nie przyznałby, że dreszcz strachu przebiegł jego członki. Chłopiec miał dopiero lat dwanaście. Co teraz będzie?

Przejechali szeroką ulicę, jasno oświetloną. Znów wjechali w ciemne ulice. Potem przejechali most żelazny. Żłoty wąż latarni nadrzecznych odbijał się, kołysząc w falach rzeki. Miasto czarnymi konturami rysowało się na tle ciemnego nieba. Koła

powozu tłukły mocno o żelazny bruk mostu.

Potem Praga, park po lewej stronie, niskie domy, place puste, jakieś zabudowania, skwer, ceglany dom fabryczny, parkany.

I oto wznosi się wielka budowla; z okien płyną strumienie światła. Dworzec kolei.

Wychodzą na peron. Milczący sługa śpieszy do kasy po bilety. Idą po kamiennym bruku dworca. Wdal ciągną się szyny. A tu wagony. Siadają na wózku do przewożenia rzeczy. Pan w binoklach trzyma ich za ręce.

Antoś zapada w półsen. Widzi cyrk wielki, gmach więzienny, izbę szynkową, gdzie ojciec odbiera od niego pieniądze, w ciągu dnia wyżebrane, widzi wielki hotel i poddasze, i swoje posłanie na tapczanie, widzi surowego portjera i stróża, który go bije, widzi milczącego starca, gromadki grających nad Wisłą w karty; sam gra w „pasek,” a oto Saska kępa; Wicek mu wygraża pięścią, jakaś pani w pluszowej rotundzie kupuje cały pęk kwiatów, daje mu rubla, Wicek rzuca się na niego, a on go nożem uderza. Wicek pada, robi się zbiegowisko, i oto zjawia się żandarm w ciemnych binoklach, w palcie z podniesionym kołnierzem. Chwyta go wpół, rzuca do Wisły. Antek nie tonie, ale płynie, płynie, płynie...

Mańka nie spała. Jej wielkie czarne oczy błędziły po niebie, po gwiazdach. Nie myślała w tej chwili o niczem. Była zmęczona i śpiąca.

Antek drgnął. Jakiś huk głośny rozległ się tuż nad jego głową. Męczące widzenia przysły.

Pierwszy dzwonek.

Z sykiem zbliża się lokomotywa do sznura wagonów. Stuk,

wagony uderzają wzajemnie, cofają się gwałtownie, świst lokomotywy, para bucha z komina. Zbliża się konduktor, obrzuca gromadkę zdziwionym wzrokiem: wytwornie odzianego pana z dwojgiem obdartych dzieci.

Co go to obchodzi? Dostał trzy ruble, więc daje osobny przedział.

— Proszę za mną.

Wchodzą do przedziału pierwszej klasy. Znów miękkie kanapy, jak w hotelowym pokoju; siedzenia pokryte pluszem. Na podłodze cerata. Nad głowami siatki do rzeczy. W szklanych kloszach płonie równe światło, przez otwarte okienko wdziera się chłodne nocne powietrze. Na niebie lśnią gwiazdy.

Dzieciom zimno. Starzec wyjmuje z pasków pled i podaje im.

— Masz, Mańka — mówi Antek — okręć się.

— A ty?

— Mnie ciepło — dowodzi, saczekając zębami Antek, i staje przy oknie.

Drugi dzwonek. Na stacyi ruch się wzmacza. Przedział ich wygląda, jak mały pokoik. Ciemne sylwetki osób snują się na peronie. Migają latarki konduktorów. Czerwona czapka naczelnika stacyi znaczy się na żółtem tle okna trzeciej klasy. W sali, za szybami okien, jacyś ludzie śpią na ziemi, z głowami, opartymi o tłomoki. Są tam mężczyźni, dzieci i kobiety. Zapewne czekają na ranny pociąg. Antek widzi to wszystko, jak przez mgłę. W uszach słyszy szum.

Trzeci dzwonek. Gwizdka ostra, krótka, rozkazująca. Lokomotywa odpowiada przeciągle, ochryple, niedbale. Na okrągłej żelaznej beczce podnosi się młotek i opuszcza, wydając

dziwny dźwięk. Pociąg cofa się, zatrzymuje i poczyną posuwać się naprzód.

Jadą.

Koła wagonu biją głośno o żelazne szyny. Wagon się lekko kołysze na osiach, jak łódka na Wiśle, gdy statek przepłynie. Jakiś domek, obok stoi człowiek z czerwoną latarką. Dalej znów słup, a w górze latarka czerwona. Wagon głośniej uderzył.

Jadą. Ani jednego domu. Księżyc białym sierpem znaczy się na niebie. Półmrok panuje nad polami. Tu drzewa dumają, zwiesiwszy swe sztywne, nagie ciała nad rowem.

Służący z siwymi włosami siedzi w rogu, przymknął oczy i drzemie. Wygląda jak umarły. A ten pan, który ich kupił, siedzi w drugim rogu przedziału i przygląda im się uważnie. Ten jego wzrok stalowy biega po ich postaciach, mierzy ich od zwichrzonych włosów do zabłoconych dziurawych trzewików. Wzrok ten cięży na malcach.

Dzieci ogarnia lęk przed tym wzrokiem, z którego idzie dziwna siła.

Pola szepcą cichą modlitwę. Dzieci jej nie słyszą, nie rozumieją. One znają mowę miasta, tę mowę złą, głośną, cyniczną, szyderczą i zabieglwą: mowę rozpustnika, który chce używać. Są i w mieście inne odgłosy, odgłosy pracy dla postępu, lecz tej dziecko ulicy nie słyszy.

Przeciągnął gwizd, i pociąg zwalnia w biegu. Dłużej teraz wzrok zatrzymuje się na sośnie z igłami, na chacie. Zdala idą światła. To fabryka płonie szeregami kwadratowych okien.

Pociąg zatrzymuje się. Dzwonek, nawoływania, ostatni sygnał. Znów ruszają.

Wszystko to, jak za mgłą gęstą widzą dzieci.

— Połóżcie się spać — mówi pan.

Są mu posłuszne. Siwy sługa rozciąga na siedzeniu pled, kładą się. Myśli wikłają się, kłębią, na pół jasne, na pół świadome. Chłodny powiew idzie od okna. Pan zasunął na latarkę pokrycia płócienne. Ciemno. Dzieci zasnęły.

On wstał, cicho zbliżył się do okna, wychylił głowę i patrzy na zmieniającą się panoramę. Wargi jego poruszają się miarowo. Czy oblicza zyski, jakie mu kupione dzieci przyniosą, czy spowiada się z jakiegoś cierpienia, które mu piersi tłoczy, czy postanawia coś, czy się modli?

Słupy telegraficzne, jak szereg żołnierzy — olbrzymów na warcie — przesuwają się przed oczami. Siatka drutów, jak jedwabne sieci pajęczne, snuje się bez przerwy.

Iskra pada do przedziału. Zasuwa on okno i siada. A tam za szkłem, tysiące płomiennych miga błyskawic.

Pociąg zatrzymuje się. Dzwonki, głosy, gwizdki — i znów pędzi dalej.

A żółty świt mglisty ukazuje się na skraju horyzontu. Leniwie wychodzi jesienne słońce. Chmury stroją się w żółto różowe kolory, grają karminem, złotem i srebrem.

— Dzieci, wstawajcie!

— Co? — pyta Antek nie otwierając oczów.

— Wstawajcie. Zaraz wysiadziemy.

— Mhm.

Przeciera oczy, rozgląda się. Więc to nie jego strych?

Przypomniał sobie wszystko. Trącił Mańkę. Mańka zerwała się.

— Już, już, zaraz!

Otwiera oczy i dziwi się.

I dwoje dzieci obdartych, wystraszonych, siedzi na aksamitnych poduszkach pierwszej klasy w oświetleniu wschodzącego jesiennego słońca.

Sprzedane...

— Wysiadamy.

Siwy starzec pakuje rzeczy, zdejmuje torbę podróżną z siatki.

Pociąg staje.

Jest to mała stacyjka, położona na szczerem polu. Gdzieś zdala czernią się lasy, a tu wokół nic prócz pól z ostremi, jak szczecina, łądygami zżętego zboża. Całe morze pól rozległe, poważne, spokojne. Naczelnik stacji uchyla czapkę przed opiekunem Antka i Mańki i ciekawym wzrokiem obejmuje przybyszów.

Przed stacyą czeka bryczka. Siadają.

Woźnica bez słowa powitania bierze w ręce cugle. Ruszają. Pociąg idzie z nimi równolegle, prześciga ich i, wyrzucając kłęby dymu, pędzi i niknie na zakręcie za skrajem lasu.

Bryczka kołysze się na drodze, konie pędzą szybko. Lipy przydrożne dwoma szeregami dzielą obszar pól szeroki. Słońce rzuca skośne promienie.

Antek rozgląda się i nie rozumie.

— Więc tu mają mieszkać? A cyrk, a światła, a ulice, a domy, a powozy, a latarnie gazowe, a tłumy rozbawione?

Spojrzał na Mańkę.

Dziewczynka rozglądała się ciekawie, a twarz jej smagła, zarumieniona od chłodu, wyrażała jakby uwielbienie, jakby

tęsknotę.

Zatrzymywała się wzrokiem na każdym drzewie, śledziła każdy kamień szosy, zdawała się słać pocałunek tej naturze tak jej nieznannej, tak obcej.

Budziło się w duszy dziecka uczucie nieokreślone, podobne do uścisku serdecznego dla czegoś, co wschodzi, co ukazuje się mu w marzeniu sennem.

Oto wieś. Chałupy, jak ogniwa łańcucha, ciągną się, przeplatane sadami wzdłuż drogi. Oto kościół. Dzwonek lękliwy, srebrny, płynie w niebo. Kościół wznosi się nad wioską.

Wózek się zatrzymał.

Wszyscy czworo skierowali swe kroki do wejścia. Przez białe szyby pierwsze czerwone promienie słońca wlewały się, spływając na skromny ołtarz.

Uklękli pan i Mańka.

Antoś rozglądał się.

— Tu brzydko — myślał chłopiec. — W Warszawie w kościele jest inaczej. Tam dzwon tak się donośnie rozlega, tam tyle złota i tylu ludzi. A tu pusto i biednie. I organy ładniej tam grają.

Mężczyzna ukrył twarz w dłoniach i nieruchomo klęczał na kamiennej posadzce. Mańka klęczała obok, spuściła głowę na piersi i ciężko westchnęła i coś szeptała. Antoś był zły: czuł, że między nim i tą dziewczyną stanął jakiś mur wysoki, jakaś przepaść nieprzebyta. Ona klęczała i modliła się, on gotów był śmiać się i drwić, ona z zachwytem szła naprzeciw temu nowemu życiu, które ją czekało, on był zagniewany i znudzony.

Wyszli. Siedli do bryczki.

I znów chałupy wiejskie. Środkiem drogi ciągnie sznur gęsi,

kołysząc się na niezgrabnych nogach. Tu i owdzie leży świnia w błocie i ryjem swym kopie ziemię. To pies szczeknie, to gęsi przestraszone zagegają. Chłopię idzie za krową i pogania ją witką.

Antek rozmyślał:

— Nie będę tu mieszkał. Jak jechać, to jechać do dużego miasta. Żeby to do Chin, albo do Turcyi, albo gdzieś... Pożałuje ten pan, że mnie tu zataszczył. Albo będę mu ciągle wymyślał, albo wezmę i ucieknę.

Znów wieś drugą mijali. Znów ten sam widok.

— Ja chcę papierosa zapalić — odezwał się nagle, jak mógł najgłośniejszy, chcąc, żeby mu zabroniono.

Wtedy powie całą prawdę: „a co to pan mój ojciec, czy co? Ojciec mi pozwalał palić, a pan nie? Kupił mnie pan? Czy to ja bydlę, żeby mnie kupować, czy co? Na rzeź mnie pan wiezie, czy co? Nie chcę dalej jechać i już.”

Dobrze, niech go zmusi, niech spróbuje. Krzyku takiego narobi, policjant przyjdzie, a ten ananas pewnie się boi policjanta. Musi, jest w tej całej historii jakaś krętanina.

— Ja chcę papierosa zapalić — powtórzył Antek.

— Ty palisz? — zapytał pan.

Stary sługa, który drzemać się zdawał, otworzył oczy.

— Co nie mam palić? — rzekł śmiało Antek.

— Ja nie mam papierosów — rzekł pan.

— Ale ja mam — odparł chłopiec.

— To zapal sobie.

Antek nie wiedział czemu, ale się zawstydził. Nieśmiało i jakoś niezręcznie wyjął papieros, kilka zapalek mu zgasło. Czuł

na sobie wzrok opiekuna spokojny, myślący, smutny.

Puścił pierwszy łyk dymu, przy drugim zaciągnął się i zakasłał.

Złość go ogarnęła wściekła.

— Mańka, nie pchaj się, siedź spokojnie.

— Siadź tu, Maniu — rzekł pan, wziął Mańkę za rękę i posadził ją między sobą i starym sługą.

— Nie wiem, po co ja z panem jadę? — zaczął Antek, mruczając pod nosem jakieś przekleństwa — i tak tu mieszkać nie chcę. Ja łaski nie potrzebuję, ani opieki. Jeszcze sam ojca utrzymywałem w Warszawie. Może pan sobie Mańkę zatrzymać, jeżeli jej się tu podoba.

Antek zrobił jedno ważne spostrzeżenie: ten pan widać go bić nie będzie. Więc trzeba z tego skorzystać.

Okolica stawała się górzysta. To tu, to tam, wznosiła się pod lasem na wzgórzu chata wieśniacza. Słońce wyżej się podnosiło, ale mgła gęstymi szmatami zaścielała jeszcze pola.

Jechali tak długo, aż oto zamajaczył w dali jakiś mur wyniosły, porośły zielenią. Z za muru wystawał tylko dach budowli. Wiał ztamtąd jakiś chłód dziwny i tajemnicza powaga. Mur był odosobniony, wieś ciągnęła się znacznie dalej, za rzeczką, która przepływała za murem domu.

Bryczka stanęła. Wszyscy czworo wysiedli. Powożący uchylił czapki, trzasnął batem i pojechał dalej.

Zbliżali się teraz do dziwnego domu. Droga prowadziła przez boczną aleję lipową; przystanęli przed zardzewiałą żelazną bramą. Dzwonek rozległ się głucho. Czekali długą chwilę, nim usłyszeli łoskot opadającego żelaza, i wążka furtka żelazna

sama się otworzyła. Na obszernym dziedzińcu nie było nikogo. Z prawej strony dziedzińca było wązkie przejście, które prowadziło do ogrodu. Prócz tego przejścia całą szerokość zajmowała murowana budowla, opatrzona wielkimi ciężkimi dębowymi drzwiami.

— Hm, jakoś mi się to nie podoba — pomyślał Antek i mimowoli obejrzał się po za siebie.

W tej chwili żelazna brama zatrzęsnęła się z głuchym łoskotem.

Znów rozległ się stuk, i drzwi dębowe otworzyły się lekko.

— Za mną, dzieci — rzekł nieznajomy.

Mańka pochwyciła Antka za rękę, jakby szukając w nim pomocy.

— Poszła precz! — syknął Antek.

Koniec Wersji Demonstracyjnej

Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.

Wydawnictwo Psychoskok

